



MEROJINA

t o m a s z
p i q t e k

HEROINA



HEROINA

t o m a s z
p i q t e k

Wydawnictwo
ab

Copyright © by Tomasz Piątek/Syndykat Autorów, 2002

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2009

Wydanie III

Warszawa 2009

Przedmowa do wydania trzeciego

Heroina jest książką, którą chciałem spalić. Myślałem, żeby wykupić wszystkie znajdujące się na rynku egzemplarze powieści, ułożyć z nich stos w warszawskim parku i urządzić happening pod tytułem: „Tomasz Piątek pali *Heroinę*”.

Pragnąłem to zrobić, bo książka przyniosła mi nie tylko ogromny sukces (dziesiątki tysięcy sprzedanych egzemplarzy, recenzje, artykuły i wywiady w mediach, tłumaczenia na języki obce), ale także dużo bólu.

Kiedy biegałem z pierwszym wydrukiem po wydawnictwach i redakcjach, prosząc nieznanym mi ludzi, żeby przynajmniej rzucili okiem na początek tekstu, wiedziałem, że *Heroina* na pewno zostanie w końcu wydana. I wiedziałem, że to będzie sukces. Spodziewałem się, że tytuł i temat przyciągną uwagę ludzi.

Nie spodziewałem się jednak, że jak przyciągną, to już nie puszczą. Książkę potraktowano jak świadectwo, jak reportaż społeczny z życia narkomanów. W pewnym sensie słusznie: spora część tego, co dzieje się w powieści, wydarzyła się naprawdę. Ale ten reportaż – to reportaż nie tylko z życia narkomana, ale także z jego mózgu. Jest to opowieść o tym, jak narkotyki równolegle penetruje społeczeństwo i duszę, wypierając z nich to co ludzkie.

Jeśli heroina jest w stanie tak skutecznie zastąpić w człowieku człowieka, to czym jest heroina? Podczas

pisania to pytanie nieustannie mnie zajmowało. Dlatego *Heroina* nie jest tylko opowieścią o degeneracji narkomana. Jest także opowieścią o rozkwicie czegoś innego. O szczęściu, które się nie kończy – podczas gdy człowiek się kończy, niestety. Czuję głęboką więź ze wszystkimi czytelnikami, którzy tak tę książkę odebrali.

Niestety, o *Heroinie* wypowiadało się również wiele innych osób, które przeczytały tę książkę zupełnie inaczej, a najprawdopodobniej w ogóle nie przeczytały. W miesiąc po wydaniu czułem już, że przyczepiono mi znaczek z napisem: „Pierwszy Ćpun Rzeczypospolitej”. Pytania, które mi najczęściej zadawano, brzmiały: „Czy pan jeszcze ćpa?”, „Kiedy ostatni raz pan ćpał?” i „Czy pan myśli, że już nigdy pan nie przyćpa?”. Czasem traktowano mnie jak eksperta od uzależnienia, chociaż wtedy nic nie wiedziałem o tej chorobie, a na pewno o wiele mniej niż teraz (po pobycie w dwóch ośrodkach i ponadrocznej terapii). Fotografowie chcieli fotografować moje zwężone źrenice (co jest akurat bardzo łatwe, kiedy się puszcza światło w twarz fotografowanemu, nawet najszersze źrenice zwężają się wtedy automatycznie). Bawiłem się z dziennikarzami w tę zabawę, bo myślałem, że to zwiększy zainteresowanie moimi książkami. Po dwóch latach takiego funkcjonowania nauczyłem się jednej rzeczy: media i książki to dwie różne sprawy, nie do końca kompatybilne. Dziwne rzeczy, które robi się w mediach, nie wpływają na los książek. Mogą czasem zwiększyć ich sprzedaż, ale na tym koniec. Książki rządzą się własnymi prawami.

Wiele osób wypowiadających się na mój temat było oburzonych. Napisałem, że heroina jest przyjemna, co ich zdaniem było zbrodnią. Niestety, gdyby heroina nie była przyjemna, nie byłaby też tak szkodliwa dla osób uzależnionych. Trudno jest ostrzegać ludzi przed narkotykiem, powtarzając tylko: „Heroina jest okropna, heroina jest okropna”. Wielu młodych ludzi odpowie na to: „To dlaczego ludzie ją biorą? Najwyraźniej nie mówicie mi całej prawdy, będę musiał sam spróbować, żeby się przekonać”. Ja, ze swojej strony, starałem się również pokazać, jak bardzo obrzydliwa jest to przyjemność. Być może, dla człowieka, który spojrzy na to trzeźwo, jeszcze potworniejsza od heroinowych zwyrodnień, chorób i śmierci jest heroinowa rozkosz, rozległa jak pustynia, ale równie płaska i jałowa. Nie mogłem jednak tej rozkoszy pominąć. Nie mógłbym wtedy napisać prawdziwej książki o heroinie ani, szerzej, o szczęściu absolutnym i jego niebezpieczeństwach.

Niemniej oskarżyciele w jednym mają rację. Opisy szczęścia zawarte w tej powieści są niebezpieczne dla pewnej grupy ludzi. Nie dla osób nieuzależnionych – te mówią, że książka bardzo skutecznie odstrasza od brania. Nie dla czynnych narkomanów, którzy przez cały czas zażywają – ci nie potrzebują żadnej zachęty. *Heroina* jest niebezpieczna dla ludzi takich jak ja. Dla uzależnionych, którzy się leczą i zachowują abstynencję od narkotyku. Żyjemy w nieszczęściu, trzeźwość jest dla nas cierpieniem. Ale jednak ją wybraliśmy, bo

nałóg przynosi w końcu jeszcze większe cierpienia. Cierpimy teraz mniej, ale nadal jesteśmy nieszczęśliwi. Możemy sobie powiedzieć, że zamieniliśmy piekło na coś w rodzaju czyścica, i trwać, wierząc, że ten czyściec kiedyś się skończy. Ale w każdej chwili możemy stwierdzić, że nałóg dawał przynajmniej nadzieję na chwilową ulgę, a teraz żadnej ulgi nie mamy. Jesteśmy podatni na takie myślenie, bo człowiek uzależniony nie umie racjonalnie oceniać długotrwałych skutków swojego postępowania. Uciekliśmy z Disneylandu, który w środku okazał się Auschwitz, ale w każdej chwili może odezwać się w nas wściekłe, ślepe pożądanie disneylandowych świecidełek. Narkoman to taki szaleniec, który za każdym razem wpada w tę samą pułapkę. Każde skojarzenie, każde wspomnienie wrażeń, których kiedyś doświadczaliśmy, może wzbudzić w nas długotrwały głód, bolesne pragnienie zażycia, niekończący się ciąg myśli o heroinie.

Dlatego sam nie mogę czytać *Heroiny*. Dlatego tutaj, w tym miejscu mówię: jeśli jesteś leczącym się narkomanem, utrzymującym trzeźwość, nie czytaj tej książki.

A jeśli nie jesteś narkomanem – to czytaj ją, jak chcesz.

Tomasz Piątek

NAJPIĘKNIEJSZE JEST TO, że gdziekolwiek bym poszedł, wszędzie pojawiają się kryjówki. Co dziesięć metrów jest jakaś brama. Albo opuszczony garaż. Albo wąska, zarośnięta ścieżka między dwoma parkanami. Albo parking niestrzeżony, gdzie jestem zupełnie niewidoczny, kucając między samochodami.

Kiedyś tych wszystkich miejsc prawie w ogóle nie zauważałem. Wydawały mi się niczyje. Teraz wiem już, że są moje. W każdym z nich czuję się tak dobrze, jak gdybym miał tam zostać na zawsze.

Czasem niektóre kryjówki znikają. Czasem rozgrzebana przez koparki polana, porośnięta szarymi, dobrymi do kamuflażu badylami, nagle zostaje zajęta przez kanciasty szklany budynek, który nie tylko nie ukrywa mojej postaci, ale dodatkowo jeszcze ją odbija. Ale gdy jedna taka kryjówka zniknie, zaraz pojawia się dziesięć następnych.

Kiedyś lubiłem też restauracje. Wydawało mi się, że tam właśnie mogę mieć największy spokój. Myślałem tak, dopóki nie odkryłem, jak niesamowite są restauracyjne kible. W kiblu jesteś naprawdę sam, jak w kosmosie. A restauracyjne kible często są jeszcze do tego wyciszone. Można w nich siedzieć długo, pod warunkiem że wcześniej zamówiło się jakieś duże danie, którego zresztą nie trzeba jeść.

Sedes wydaje z siebie zachęcające szmery, gdy pochylam się nad kolanami, na których leży folia aluminiowa. Z twarzy wystaje mi mała srebrna rurka. Nad folią aluminiową wciąż unosi się szarawy dym. Wypełnia już moje płuca. Ale nadal go wciągamy przez rurkę, nie pozwalam mu uciec. Utrata porcji dymu to jak utrata ręki albo nogi, albo coś jeszcze gorszego. Różnica między absolutnym a prawie absolutnym szczęściem jest naprawdę ogromna.

Kiedy cały dym jest już w środku, przestaję oddychać i wtedy robi się naprawdę przyjemnie. Jak gdyby stojąca w mojej głowie filiżanka z gorącą czekoladą nagle przewracała się, żeby zalać mi ciało od wewnątrz.

Po kilku niesamowitych sekundach głębokiej, gumiatej rozkoszy przypominam sobie, gdzie jestem, i przez chwilę myślę, co robić. Mogę znowu zamknąć oczy i zanurkować w to, co jest tak dobre,

że aż ciemne. Ale wtedy nie będę wiedział, kiedy się obudzę, a nie chcę ugrzęznąć w tym kiblu na zawsze.

Mogę też wstać i poszukać jakiegoś człowieka, żeby popaść w jakąś interakcję, rozmawiać, zachwycać się. To rozcieńczyłoby moją przyjemność, ale pozwoliłoby zachować przytomność. A przy okazji może i temu człowiekowi udzieliłoby się trochę mojej rozkoszy, przez co ogólna szczęśliwość we wszechświecie jeszcze bardziej by się zwiększyła.

Jest mi teraz tak dobrze i jestem teraz taki dobry, że wybieram tę drugą możliwość. Wstaję i wychodzę na zewnątrz, na prowadzący do sali dla gości korytarzyk, gdzie nie mogę się powstrzymać i przysypiam na kilka minut. A gdy się budzę, pierwszym człowiekiem, którego widzę, jest młoda farbowana brunetka, która przyciska mnie do ściany, mocno, tak żebym nie spływał po murze na podłogę jak marmolada. Pyta mnie, jak się czuję. Szukam słowa, którym mógłbym jej odpowiedzieć, przynajmniej w przybliżeniu. Chciałem powiedzieć: „Doskonale”, ale chyba mówię: „Kaloryfer”.

Potem, już na sali, podchodzę do jednego z restauracyjnych facetów, ale rozpływa się jak batonik w palcach. Kiedy z pomocą innego faceta opuszczam lokal, postanawiam, że jednak sobie przysnę.